

Autor: Lucius Shepard

Tytuł: Szklany smok

Z "NF" 5/93

Miłość może być bardzo kruchą rzeczą, równie kruchą jak delikatny, szklany smok, którego szklarz wydmuchał dla młodej kobiety, zamierzającej go porzucić. A jednocześnie może być równie czarodziejska (lub zaczarowana) jak ten smok.

Na plaży Florydy, na południe od Fort Myers, w bungalowie krytym dachówkami i stojącym pośród palm, mieszkał dmuchacz szkła nazwiskiem Carter McCrae, szczupły, siwowłosa mężczyzna około pięćdziesiątki, którego opalona, pokiereszowana bliznami twarz wyrażała cynizm będący wynikiem dwóch nieudanych małżeństw i licznych krótszych związków. W warsztacie za bungalowem Carter tworzył delikatne cuda, poszukiwane przez muzea całego świata; jednak nie czerpał duchowej satysfakcji ze swojej pracy, ponieważ wierzył, że każda ludzka działalność - artystyczna, polityczna czy interpersonalna - może być tylko płytka, tylko ułomna. Najczęściej mieszkał sam, ale od czasu do czasu jakaś kobieta dzieliła z nim bungalow. Niektóre zostawały na noc, niektóre na tydzień, niektóre na miesiąc czy dwa. Zwykle były całkiem młode - co można tłumaczyć jego kompleksem Elektry. Obecna towarzyszka, Sharon, miała dwadzieścia cztery lata, rude włosy, jasną cerę i wrażliwe rysy, zdradzające brak doświadczenia. Przez ostatnie dziewięć miesięcy podróżowała po Ameryce Centralnej - jak mówiła, szukając życiowego celu. Carter wątpił w powodzenie tego zamiaru; przewidywał, że Sharon zdecyduje się na konwencjonalne małżeństwo i będzie dręczył jakiegoś nieszcześnika tak samo, jak jego dręczyły dwie poprzednie żony. Podobnie jak jego wyroby ze szkła, była śliczna i pusta w środku.

Wprawdzie Sharon miała znacznie mniej doświadczenia życiowego, ale była równie rozzarowana jak Carter, również na skutek swobodnego trybu życia (o ile zgadzacie się z opinią, że zbytne folgowanie własnym zachciankom nieuchronnie prowadzi do rozzarowania). Sharon była prawdziwym dzieckiem lat osiemdziesiątych, uznającym tylko wartości materialne, wykazującym modną niechęć do wartości duchowych i związków opartych na uczuciach. Chyba właśnie to podobieństwo poglądów, to połączenie nudy i cynizmu przyciągnęło ich do siebie. Przez jakiś czas udawali, że są zakochani, a różnica wieku między nimi nie istnieje. Oboje wiedzieli, że udają, i dlatego prowadzili ze sobą rozgrywki, wymieniali fałszywe namiętności na przysięgi niezależności i obserwowali wyniki. Ale pod koniec miesiąca Sharon zaczęła wykazywać oznaki zniecierpliwienia; zauważywszy je Carter - który wpadł w pułapkę, próbując przełamać jej obojętność, co skłoniło go do przybrania nazbyt ojcowskiej pozy - stał się milczący i zamknięty w sobie, i codziennie spędzał coraz więcej czasu w warsztacie, wznosząc mur obronny przed nadchodzącym zerwaniem. Wiedział, że to będzie trudne: nawet udawanie miłości wymagało emocjonalnego zaangażowania, które otwarło go na ból.

Sharon mieszkała już z nim od miesiąca, kiedy pewnego ranka obudziła się z silną gorączką. Tego rodzaju dolegliwości są niewątpliwie spowodowane przez wirusa, ale przychodzą i odchodzą tak nagle, jakby zasiał je zmienny wiatr, dmuchający przez człowieka na wylot. Carter przygotował jej poślanie w cieniu, pod wystającym dachem

bungalowu, przyniósł czasopisma i sok owocowy. Potem usiadł obok, zabawiał rozmową i szkicował jej usta; miała lekko wystające przednie zęby, co nadawało twarzy wyraz podniecającej bezbronności, a on chciał to skopiować na twarzy szklanego anioła, którego zamierzał stworzyć. Patrząc na jego rękę, biegającą po papierze, nagle dostrzegła w nim dobrego, mocnego człowieka i powiedziała tęsknie, w zamyśleniu:

- Chciałabym cię kochać.
Zesztywniał.

- To świństwo tak mówić! - warknął i ruszył w stronę warsztatu. Ale po kilku krokach przystanął, zawrócił i usiadł obok niej na piasku. Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Dlaczego nie możesz? - zapytał. - Z powodu mojego wieku?

Sharon zwykle starannie unikała takich intymnych tematów, teraz jednak wdzięczność w połączeniu z gorączką, przez którą czuła się jak bezsilny i rozgoryczony rozbitek, skłoniły ją do szczerości.

- Chyba tak - odpowiedziała. - Kiedy się kochamy, wcale o tym nie myślę. Ale później... zaczynam się zastanawiać, jakie to dziwne, że kochałam się z kimś o tyle starszym. Czasami mówię sobie: "kiedy on będzie miał sto lat, ty będziesz miała siedemdziesiąt sześć", i to wydaje się całkiem rozsądne. To znaczy, nasz związek. Ale potem myślę, że kiedy tobie stuknie sześćdziesiątka, ja będę miała dopiero trzydzieści sześć lat, i to jest trochę bez sensu. - Przełknęła, bo zaschło jej w gardle. - Przykro mi.

Carter studiował kruchą doskonałość jej rysów: linie wokół ust delikatne jak rysy na steatycie; powieki tak cienkie, że w pewnym oświetleniu wydawały się przezroczyste; kości policzkowe tak ostre, że omal nie przebiły skóry. Pomyślał, że gdyby zdołał odtworzyć w szkłe ten rodzaj doskonałości, wszystkie lata pracy nie poszłyby na marne.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała podejrzewając, że Carter chce ją wyrzucić; nie czuła się dość dobrze, żeby maszerować na piechotę do miasta.

- Po prostu myślę, jaka jesteś ładna.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Wcale nie jestem ładna!

- Oczywiście, że jesteś. - Zachichotał. - Zdumiewające, jak wiele pięknych kobiet ma o sobie kiepską opinię. Zupełnie jakby uważały, że jeśli mają urodę, to nie zasługują na nic więcej. Jak ty. Uparcie zaprzeczasz swoim zdolnościom...

- Nie mam żadnych zdolności. Jestem tylko kawałkiem dupy!

- To nieprawda - zaprotestował, zaskoczony jej wybuchem. Wybuchnęła śmiechem.

- Wiesz, jak się zabawiałam w Nowym Jorku? Zrobiłam się na punka. Nosiłam suknię ze srebrnej lamy, trupi makijaż i pas z promiennikiem. Włosy w szpice. I chodziłam do dyskotek. Zaliczyłam wszystkie. Kamikaze, Palladium. Nazwałam się Futurystyczną Dziewczyną. Bramkarze lubią, kiedy jesteś kimś specjalnym; chętniej cię wpuszczają. Więc zostałam Futurystyczną Dziewczyną. Odmierzałam swoje życie gazetowymi nagłówkami. Futurystyczna Dziewczyna Daje Dupę W Toalecie Palladium. Futurystyczna Dziewczyna Niucha Kokę Z Pokrywy Sedesu, A Kierownik Reklamy Wali Ją Od Tyłu. Futurystyczna Dziewczyna Obciąga Druca Czterem Świrom Z Nowej Fali. - wypluła to wszystko jak strumień żółci i była zdumiona, że nie okazał zgorszenia.

- Dlaczego to robiłaś?

- Uwielbiałam to! To byłam ja!

- więc dlaczego przestałaś?

- Natrafiłam na nagłówek, którego nie mogłam znieść.

Sharon popatrzyła na zatokę. Spokojna toń miała stalowoniebieską barwę, tylko na horyzoncie błyszczało karmazynowe odbicie zachodzącego słońca. Brodźce grzebały w brązowym błocie wzdłuż linii przypływu. Carter czekał na wyjaśnienie, ale ona milczała. Wreszcie zapytał o ten nagłówek.

- Futurystyczna Dziewczyna Zgwałcona. - Nie umiałać spojrzeć mu w oczy. - Od tamtego czasu jesteś pierwszym facetem, z którym to robiłam. A to znaczy, że znowu jestem Futurystyczną Dziewczyną.

- To wcale nie musi być tak.

- Nie rozumiem - oświadczyła. - Jak możesz zaprzeczać, skoro ja tak mówię? Ty też masz nie najlepszą opinię o sobie.

- Tak - przyznał po chwili. - Racja. Robiłem poniżające rzeczy... chociaż tym się nie przejmuję. Patrzę na to z dystansu. Mój problem polega na tym, że się boję.

- A czego?

- Kiedy miałem dwadzieścia parę lat, trochę podróżowałem na własną rękę. Europa, Ameryka Południowa. Pewnego razu trafiłem do małego miasteczka na południu Meksyku, San Cristobal de la Cases. Zamieszkałem u jednego starszego faceta, który przygarniał wszystkich przybłądów. On był pisarzem, przeżył kilka okropnych małżeństw i właściwie spisał własne życie na straty. Co wieczór siadywaliśmy całą gromadą przy jego kominku i gadaliśmy. I prędzej czy później John - tak miał na imię - zaczynał nam opowiadać o swoich wizjach przyszłości. Rozmawiał z Jezusem i miał niezwykle wyraziste sny o Apokalipsie. Armie ludzi świecących od radioaktywności, które walczą na dnie wyschłych mórz i tak dalej. John był romantyczną postacią. Pisaliśmy o nim w pamiętnikach. Tym dla nas był... wstępem do pamiętnika. - We wspomnieniu zobaczył zgorzkniałą twarz Johna i usłyszał jego ponury głos.

- Ty nie masz wizji.

- Nie, ale pod każdym innym względem upodobiłem się do niego. Jestem tylko młodszy. Daj mi parę lat, a na pewno wymyślę jakąś obsesję.

- Chciałabym... chciałabym pomóc.

- Pomogłaś. Piękno zawsze pomaga.

Sharon nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Wreszcie zapytała:

- Chcesz się kochać?

- Raczej nie. Oboje wiemy, że niedługo odejdziesz.

- Co ma jedno do drugiego?

Zirytowany Carter wstał.

- Nie potrzebuję pieprzenia z litości. Takie jak ty przyjeżdżają każdym autobusem.

Przeciągnął ręką po oczach.

- Przepraszam. Słuchaj, dobrze nam było ze sobą. Niech tak zostanie, dobrze?

- Dobrze... skoro tego chcesz.

- Idę popracować. Zrobię ci prezent na pożegnanie, okay? Masz jakieś specjalne życzenie?

Fala gorączki przepłynęła przez nią i przyniosła odpowiedź z niezbadanych głębi.

- Zrób mi smoka.

- Dłaczego smoka?

- Nie wiem... Może dlatego, że smoki nie istnieją.

Carter nie miał nastroju do czegoś tak skomplikowanego jak smok. Postanowił zrobić jakąś abstrakcję. Nazwie to

"Smok". Ale kiedy przyczepił gruby bąbel płynnego szkła do końca piszczeli, całkowicie stracił natchnienie. wyszedł z warsztatu, żeby strząsnąć bąbel na piasek. Słońce prawie zaszło, smuga ognia na horyzoncie; w ostatnich blaskach dnia. Włosy Sharon przybrały barwę płomienia, skóra jak kość słońska zaróżowiła się od ognia. Na jej widok Carter poczuł smutek i tęsknotę. wyobraził sobie na chwilę, że podobnie jak muzyk potrafi stworzyć melodię doskonale wyrażającą jego uczucia, podniósł piszczel do ust, zamknął oczy i dmuchnął.

W oczach Sharon pęczniący bąbel, wzniesiony ku umierającemu słońcu, wyglądał jak kula czerwonego ognia. Jak skrzydłaty, ruchliwy kształt, próbujący oderwać się od szklanej łądygi, z której się rozwijał. Zamrugała oczami i pomyślała, że przeżywa halucynacje wywołane gorączką, ponieważ wiedziała, że tak skomplikowanego przedmiotu nie można wydmuchać jednym oddechem. Ale kształt nie zniknął, przeciwnie, nabierał coraz większej wyrazistości, wysunął długą, wygiętą szyję i ogon, potem wąski jaszczurczy łeb. Przezroczysta figurka, nie większa od kota, była ledwie widoczna, ale Sharon nie miała żadnych wątpliwości: to był smok.

Carter wciąż nie otwierał oczu, chociaż wiedział, że dzieje się coś niezwykłego. Zdawało mu się, że ma w płucach niewyczerpany zapas powietrza, w gardle wyczuwał kształt powstającego przedmiotu. A kiedy wreszcie otworzył oczy, nawet się nie zdziwił na widok smoka, który ostrym skrętem zerwał się ze szklanej uwięzi i wzbił się w niebo, z gracją machając skrzydłami, stopniowo nabierając wysokości. Wypukłe oczy smoka migotały niczym feralne klejnoty, wąski brzuch zdawał się wypełniony ogniem, a z każdej łuski buchała karmazynowa energia.

Smok zaczął zataczać koła nad Sharon i Carterem, krążył po coraz mniejszej orbicie, a oni przysuwali się do siebie coraz bliżej, przyciągani nieodpartą siłą, niczym szczątki rozbitego statku wessane morskim wirami. Wreszcie stanęli obok siebie, zapatrzeni w smoka, który wówczas wykonał serię skomplikowanych pętli nad ich głowami, przypominających płynne ruchy rąk czarnoksiężnika nad dymiącym pentagramem. Przez sekundę unosił się nie dalej niż na wyciągnięcie ręki; przyglądał im się uważnie, jakby oceniając wyniki swojej pracy. Sharon nigdy nie widziała czegoś równie pięknego. Smok był doskonały w każdym szczególe, jego szklane szpony krwawiły się czerwienią zachodzącego słońca, kły błyskały, delikatny pyszczek rozciągał się w krwiożerczym uśmiechu, wyrażającym niekłamaną satysfakcję. Sharon odwróciła się do Cartera i ujrzała w jego twarzy niezłomny męski upór, w którego istnienie niedawno powątpiewała. Zrozumiała, że stworzył dla niej tę magiczną istotę powodowany głębokim uczuciem, jakiego nie spodziewała się napotkać, a zrozumiałwszy, odwzajemniła to uczucie w pełni. Carter natomiast odkrył, że Sharon dostarczyła mu podstawowego materiału, z którego stworzył smoka, że zapaliła w nim iskierkę prawdziwego uczucia, którą jego oddech rozbudził do życia, a którą ona ukształtowała swoim życzeniem, swoją czarodziejską mocą, mocą kobiety obdarzonej miłością.

Smok zasyczał cichutko i wzbił się ponad czubki palm, rozszczępiając światło na miriady tęczyowych pryzmatów. Potem pomknął prosto w stronę zachodzącego słońca, którego skrawek wciąż wisiał nad horyzontem. Po chwili zniknął, a razem z nim znikło słońce, ogłaszając koniec dnia bladezielonym błyskiem, który przeszył nisko leżące chmury i trwał przez jeden oddech, zanim zgasł niechętnie jak uparty sen. I jakby ten błysk był czystą wiedzą płynącą ze snów, Sharon i Carter

uświadomili sobie, że magia zrodzona z walki pomiędzy stępną wrażliwością a niespokojną nadzieją jest nietrwała. Wkrótce oboje znajdą się w świecie odartym z magii; wkrótce będą musieli przemówić, przełamać czar płomiennej ciszy utkanej przez kolisty lot smoka; a wówczas zwyciężą w miłości lub przegrają. Łatwo mogą przegrać, ponieważ miłość jest iluzją kruchą jak szkło i promień słońca, którą trzeba nieustannie odnawiać. Ale na razie woleli o tym nie myśleć. Woleli spoglądać w dal za smokiem, za samotną prawdą ich życia, której żadne kłamstwa nie mogą przekreślić.

Księżyc wzeszedł i rzucił srebrny blask na ciemne, spokojne wody zatoki. W oddali pierwsze gwiazdy wyłaniały się spoza białych, widmowych chmur. Sharon i Carter zwrócili się ku sobie i chociaż lękali się tego, co nadejdzie, noc rozpoczęła się bez błędu.

Przełożyła Danuta Górka